

Kim jestem, a jeśli już, to dlaczego aż tyle i tylko tyle?

Kilka lat temu niemiecki filozof Richard David Precht napisał głośną książkę "Kim jestem - a jeśli już, to na ile?" Tytuł mojej opowieści to parafraza tytułu tej książki. Kim jestem i dlaczego stałam się dokładnie tą osobą, która właśnie spisuje te słowa, a nie jakąś zupełnie inną, mnie obcą? Oto moja droga do samej siebie.

Nigdy nie chciałam być księżniczką

Ponoć każda kilkulatka marzy o tym, żeby być księżniczką, każda nastolatka przechodzi przez okres różowy, a każda dorosła kobieta chce mieć dzieci. Ja jako kilkulatka marzyłam o tym, żeby być kosmonautką, jako nastolatka nie cierpiałam różowego, a jako dorosła kobieta po pierwsze nie chciałam mieć dzieci. Z tego ostatniego potem się wytłumaczę. Teraz, gdy z perspektywy sześćdziesiątki robię sobie przegląd tego wszystkiego, co przeżyłam, dziwię się przede wszystkim jednemu, że przy tak ogromnej różnorodności nas, ludzi, tak chętnie klasyfikujemy się według wieku, zwłaszcza na początku i na końcu życia, dzieci to dzieci, seniorzy to seniorzy! Tymczasem nawet koty różnią się między sobą znacząco, a cóż dopiero ludzie! Różnice dają się zauważyć już od kołyski, nie mówiąc o tzw. wieku poważnym, czyli starości. Różnimy się temperamentem, osobowością, zainteresowaniami, talentami, wyglądem, różnimy się tym, czym mamy się stać i czym się stajemy. Susan Sontag twierdzi także, że każde dziecko czuje się represjonowane, bo ona sama była, jak to nazywa, "represjonowana". Co znaczy, że nawet słynna amerykańska intelektualistka nie jest wolna od projekcji własnego punktu widzenia na innych. Nigdy jako dziecko nie czułam się *represjonowana*! Przy okazji, nigdy też nie chciałam być sławna! Za chwilę wytłumaczę dlaczego.

Od początku do końca jesteśmy różni

Uważam, że klasyfikując dzieci li tylko według wieku zaprzepaszczamy indywidualny potencjał wielu z nich. Jeśli zapoznać się z biografiami ludzi, którzy czymś się wyróżnili i dlatego ich biografie są takie ciekawe, że aż spisane dla potomności, to przede wszystkim rzuca się w oczy, że najpewniej już ich dzieciństwo było inne, niż obowiązujący schemat. Malcolm Gladwell w książce "Poza schematem. Sekrety ludzi sukcesu" mówi o pewnej twardej zasadzie: *"Żeby zostać światowej klasy ekspertem w czymkolwiek - poczynając od gry na skrzypcach i kończąc na grze w szachy - trzeba przetrenować co najmniej dziesięć tysięcy godzin..."* Gladwell daje przykład Roberta Kubicy, kierowcy rajdowego z Krakowa. Czterolatek Robert będąc na spacerze z rodzicami zobaczył na wystawie sklepowej miniaturowy samochodzik terenowy. I już nie dał się od niego oderwać, aż rodzice kupili mu autko. Dziesięcioletni Robert miał już licencję wyścigową i startował w mistrzostwach Polski...

To zabawne, że Gladwell, wg *Time'a* "jeden ze stu najbardziej wpływowych ludzi na świecie", jako pierwszy przykład przytoczył akurat przypadek Roberta Kubicy, sportowca urodzonego 7 grudnia 1984 roku w Krakowie. Co oznacza tylko jedno, nieważne gdzie się ktoś urodzi, ważne, że zaliczy dziesięć tysięcy godzin w jakiejś dziedzinie, a daje sobie szansę na stanie się mistrzem. Powiem więcej, nie zawsze jest ważne, czy sukces łączy się ze światową sławą i wielkimi pieniędzmi. Sukcesem jest samo bycie dobrym w jakiegokolwiek dziedzinie poprzez doskonalenie swoich umiejętności. Poza tym Kraków jest świetnym miejscem na przyjsie na świat, sama się tu urodziłam. Też w grudniu, tyle że znacznie wcześniej, w roku śmierci Stalina, Polska lizała wtedy rany po wojnie i usiłowała się jakoś znaleźć z nowym systemie. Niektórzy twierdzą, że dzieciństwo w takim systemie musiało być szare, smutne i biedne. Niekoniecznie. Dzieciństwo, o ile nie zdarzy się w szczególnie parszywych czasach w szczególnie nieludzkim systemie, może być kolorowe, szczęśliwe i bogate. Zależy w jakiej rodzinie się przytrafi.

Moja zwyczajna niezwykła rodzina

Można się urodzić księciem lub żebrakiem, ale zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa zwykły człowiek

zwykle rodzi się gdzieś pomiędzy i odtąd żyje swoje życie zgodnie ze swoim mniej czy bardziej zwykłym losem, przeznaczeniem, lub, jeśli sięgnąć po pojęcie z teorii chaosu, atraktorem (wyjaśnienie zaraz). W sumie każda rodzina w pewnym konkretnym społeczeństwie, w pewnych określonych czasach jest do pewnego stopnia zwyczajna, bo obowiązują ją pewne sztywne normy, co ją ujednolica, i dopiero od pewnego stopnia jest niezwykła, bo jest sumą różniących się między sobą indywidualności oraz nieprzewidywalnych wydarzeń spadających na nich losowo. Wzajemne oddziaływanie na siebie osobowości i przypadków tworzy tę jedną jedyną w swoim rodzaju rodzinną konstelację, która jest tak różna od wszystkich innych, jak różnią się między sobą jej poszczególni członkowie z ich niepowtarzalnymi indywidualnymi losami, i która oddziałuje na każde kolejno przychodzące na świat dziecko.

Atraktor to moc przyciągania

Pojęcie "atraktor" wyjaśnię po swojemu, gdyż wyjaśnienie naukowe zaczynające się od słów "*to w analizie układów dynamicznych zbiorów w przestrzeni fazowej, w kierunku której zmiernają trajektorie...*" zdaje mi się być zbyt techniczne jak dla tej swobodnej opowieści: we wszechobecnym dzianiu się (dotyczy to tak biologii jak i fizyki, astronomii, ekonomii, psychologii społecznej a także indywidualnych życiorysów, czyli wszystkiego, co się rusza), atraktor to jakby kłębiące się centrum mające moc ściągania w swoim kierunku czy to materii, czy wydarzeń. Dość wyobrazić sobie w skali makro naszą spiralną galaktykę wyłapującą swoją siłą przyciągania przelatujące w jej pobliżu ciała niebieskie, tyk, i nie polecą dalej. Obszar, w którym działa ta siła nazywa się "basenem przyciągania". Atraktor po polsku tłumaczy się na "ściek", więc podobnie jak basen ma coś wspólnego z wodą, ale choć łatwo sobie wyobrazić spływającą ściekiem wodę (ulegającą sile ziemskiej grawitacji) dla losu ludzkiego nazwa wydaje mi się być niefajna (ściek kojarzy się z nieczystościami), pozostajmy więc przy atraktorze. Los ludzki wpisany jest w pewne granice wytyczające trakt jego drogi życia. Z jednej strony to człowiek jest swoim własnym centrum, z którego nijak wyskoczyć, z drugiej jego emanacja, siła przyciągania, a więc "atrakcja", powoduje, że w zakresie swoich możliwości pojawiają się w jego życiu pewni ludzie i pewne sytuacje. Nie należy tego interpretować magicznie. To fizyczna właściwość "układów dynamicznych". Jednak jedni ludzie wierzą w nieuniknioną ludzkiego losu - od starożytności ciągnie się za nami wiara w przeznaczenie - inni twierdzą, że wszystko jest przypadkiem, choć wiemy już, że nawet chaos ma swoje prawa. Ergo: tak naprawdę cholera wie i na tym na razie poprzestajmy.

Przychodzę na świat

Gdy ja się urodziłam, moi rodzice mieli już dwoje dzieci, dwie dziewczynki z pierwszego małżeństwa taty. Jedna była ode mnie starsza o 12 lat, druga o 10. Mój tato był wdowcem. Po kilku latach przyszła na świat nasza najmłodsza siostra. Ślub mamy z tatą odbył się w atmosferze skandalu, bo mama zakochała się na zabój w tacie, 11 lat starszym od siebie wdowcu z dwojgiem dzieci, i z wielkim hukiem zerwała swoje zaręczyny zaklepane od siedmiu lat z rówieśnikiem z sąsiedztwa, co poróżniło obie rodziny niemal jak Montecchich i Capuletich (choć już kolejne pokolenie, czyli my, dzieci, i tak bawiliśmy się ze sobą w najlepsze).

Mój tato

Tato, krakowianin z krakowian, miał równo 20 lat gdy zaczęła się druga wojna światowa, jego rodzice już nie żyli, mieli czwórkę dzieci, tato, najmłodszy z rodzeństwa, został sam na sam z wojną, bo dwie starsze siostry powychodziły za mąż i porozjeżdżały się z Krakowa a starszy brat uciekł na wschód, po czym zaciągnął się do armii Andersa, dotarł z nią aż po Madagaskar i Nowy Jork i wrócił dopiero kilka lat po wojnie ożeniony na amen z pewną Belgijką, dziewczyną witającą wyzwolicieli-żołnierzy, wkrótce matką ich wspólnej córki. Gnany tęsknotą opuścił obie i wrócił do Polski, gdzie zaraz po przekroczeniu granicznego mostu w Cieszynie trafił na swoją miłość na resztę życia, a że rozwód w tych latach długo i skutecznie uniemożliwiała żelazna kurtyna, nieformalny związek wujka z ciocią też otoczony był rodzinnym skandalem, tym bardziej, że owocem ich miłości była moja starsza o rok kuzynka, więc nie dało się niczego zatuszować, długie lata żyli bez ślubu z nieślubnym dzieckiem. Opisuję to, gdyż oba te "skandale" będą miały znaczący wpływ na mój późniejszy światopogląd, a mianowicie będą

stawiała miłość ponad społeczne naciski i wymogi, kij z nimi. W końcu dzięki prawdziwej miłości, a nie umownemu "co uchodzi", pojawiła się na świecie moja starsza kuzynka, ja i moja młodsza siostra.

Moja mama

Mama pochodziła ze wsi. I od razu odpowiednie didaskalia, gdyż już samo "pochodzić ze wsi", zwłaszcza w powojennych latach, to było określenie pejoratywne, żeby nie rzec obelżywe. Wieś, z której pochodziła mama położona jest między dawnym polsko-żydowskim galicyjskim miasteczkiem Sędziszowem Małopolskim a wsią Wielopole Skrzyńskie, tak, tak, tym Wielopolem, który rozślawił Tadeusz Kantor w swoich sztukach, to z pewnością dlatego tak bardzo podobał mi się jego teatr, a zwłaszcza spektakl "Wielopole, Wielopole", który obejrzałam w 1981 roku w Zurichu, z zachwytu raz za razem, bo pobrzmiewało mi w nim żywymi wspomnieniami z dzieciństwa, te procesje, te kościelne zawodzenia bab, ten wiejski proboszcz... Tak było.

Rodzina ojca mamy, czyli mojego dziadka, pochodziła z Sędziszowa. W Sędziszowie dziadek i jego starszy brat skończyli 4 lata szkoły rolniczej. Byli więc odpowiednio do pracy na roli przygotowani. Uchodzili za wykształconych i postępowych, cieszyli się dużym poważaniem, znali się na rolniczych maszynach. Stryj mamy został zarządcą majątku hrabiów Potockich w tamtych okolicach, ojciec zaś kupił od Potockich kawał gruntu i ożenił się z najładniejszą dziewczyną ze wsi. Z miłości. Połączyli majątki i "gospodarzyli" na swoim. Tak właśnie się określał, gospodarzem. Był najbogatszym gospodarzem na kilka okolicznych wsi, co by to nie znaczyło w światowej skali "bogactwa" i wpisanej w nią biednej Galicji. Tak czy tak w tym wiejskim domu panował kult książek i nauki i do wojny dziadek martwił się, skąd weźmie tyle pieniędzy, żeby posłać do szkół powiększającą się gromadę dzieci. Po wojnie przestał się martwić. Uznano go za "kułaka" i mamie, która w Krakowie bardzo dobrze zdała egzamin na UJ na wymarzoną polonistykę, zabrakło decydujących punktów.

Książki i inne wpływy

Tato kochał wieś i bardzo lubił włączać się w roboty na polu, mama wołała miasto z jego "światowością" i kulturą. Ja łączę w sobie jedno i drugie, bo dużo czasu spędzałam u dziadków na wsi i wspominam to jako mój osobisty raj na ziemi, bez żadnej przesady i bez idealizowania. Byłam pierwszą wnuczką rodziców mamy. Miałam kochających siebie i mnie dziadków i mnóstwo cioć i wujków. Wszyscy dorośli wokół mnie wpłynęli na mój rozwój. Nie ograniczali mnie, brali pod uwagę moje potrzeby, zostawiali mi sporo autonomii, byłam traktowana jako pełnoprawny członek rodziny, tyle że trochę młodszy od innych. Jako dziecko i jako nastolatka. Gdy w wieku 15 lat koniecznie chciałam obejrzeć transmisję na żywo z lądowania na Księżycu, a było to, jak pamiętamy, w lipcu, i byliśmy na wakacjach na wsi, gdzie telewizorów jeszcze nikt nie miał, rodzice pozwolili mi na obrócenie do Krakowa na tę jedną noc, choć była to dość skomplikowana podróż, moja pierwsza samodzielna na tak dużą odległość.

Tato skłaniał się po wojnie w kierunku komunizmu, ale bardzo szybko się "wyleczył". Po nocach wsłuchiwał się w Radio Wolna Europa. Ileż razy budziły mnie trzaski i szумы. Mama była zupełnie apolityczna, zaangażowała się dopiero w działania Solidarności. Oboje dużo czytali. Mama klasykę, literackie nowości i różne - wtedy nowość - poradniki, tato prawie wyłącznie książki o drugiej wojnie światowej. Każda nowa pozycja na rynku lądowała w jego powiększającej się biblioteczkę (czasami rarytas w języku niemieckim). Mama lubiła prenumerować cykliczne wydania. Tym sposobem w domu pojawiły się "Dzieła wszystkie" Słowackiego, trzynastotomowa encyklopedia, seria popularno-naukowa Omega itd. itp. Zawsze też był aktualny *Przekrój* (mama zbierała każdy numer) oraz *Kobieta i Życie* a także *Miś*, *Świerszczyk* i *Płomyczek* dla nas, dzieci, odpowiednio do wieku. Zbierałam je równie skwapliwie jak mama, wcześniej i coraz częściej zresztą sięgając do jej "dorosłych" czasopism, moja żyłka publicystyczna już wtedy zaczynała się ujawniać. Starsze siostry przynosiły książki ze szkolnych bibliotek. Dobierałam się i do nich. Nikt mi tego nie zabraniał. Tyle czytałam, ile byłam w stanie rozumieć.

Szkoła to za mało

Szkoła była dla mnie inspiracją zwłaszcza w doborze lektur. Jeśli jakiś autor mi się podobał, starałam się przeczytać jego/jej kolejne i kolejne książki. Omawiałam lektury z mamą. To mama korygowała moje błędne interpretacje i cierpliwie tłumaczyła mi nowe słowa. Od małości uczyła mnie też wierszyków dla dzieci. Opisała to kiedyś, więc wiem jak się odbywało zanim zarejestrowałam to w pamięci. Mama powtarzała mi wierszyki, a ja miałam powtarzać po niej. Początkowo wyraźnie nie rozumiałam, że chodzi o powtarzanie i tylko mechanicznie dopowiadałam dalsze linijki. W końcu mama zwątpiła, nie nauczy mnie czegokolwiek! Aż któregoś razu usłyszała, że bawiąc się recytuję z pamięci cały wiersz. Zaskoczyłam. To wtedy zaczęła mi tłumaczyć co oznaczają tak trudne słówka jak "jemiołuszka", "śnieguliczka", "Przydróżka". Stało się to naszą zwykłą zabawą aż ho, ho, do dorosłości, każde nowe obce słowo musiało być "wyjaśnione". Na długo zanim więc doszło do tego, że zaczęłam się w mojej szwajcarskiej szkole uczyć łaciny (3 lata do szwajcarskiej matury) a potem na studiach greki (krótko), zasmakowałam w etymologii. Do dziś lubię tę swoistą archeologię pojęć i znaczeń.

Książki z biblioteki szkolnej to było za mało. Chciałam mieć swój własny księgozbiór. Zaczęłam "na poważnie" zbierać książki i przekładać je według różnych kluczy na moich dwóch a potem więcej i więcej półkach. A te, z których wyrastałam, wymieniać w antykwariatach na inne. Ulica Szpitalna przed wojną słynęła z handlu starymi książkami, którym zajmowali się antykwariusze żydowscy, tętniła życiem, co pamiętał tato, ja zahaczyłam się jeszcze o schyłek ostatnich żydowskich antykwariatów. Któregoś razu wyniosłam z domu książkę "Dekameron" Boccaccia z zamiarem wymienienia go na coś bardziej "czytelnego", "Dekameron" uznałam za książkę niewartą czytania. Bo i nie była moja, tylko mamy, a ja miałam jakieś 8 czy 9 lat i jeszcze nie dorosłam. Pani w antykwariacie nie poszła na tę wymianę. Na całe szczęście, pod koniec szkoły podstawowej przeczytałam "Dekameron" i do dziś go sobie odświeżam. Mam ten sam egzemplarz (po mamie) i mam do niego wyjątkowy sentyment. Dziękuję tamtej pani z ulicy Szpitalnej, że przegoniła mnie z nim. Bo od tamtego czasu zaczęłam postrzegać i to, że niektóre książki mogą mi się najpierw nie podobać a potem podobać (aż w końcu się zorientowałam, że może być także odwrotnie). Poza tym mama zmyłaby mi głowę jak nic! Więcej tak "ryzykownych" transakcji nie próbowałam robić. Zresztą coraz częściej nie miałam ochoty rozstawać się nawet z przeczytanymi książkami.

Szósty zmysł to wrażliwość na abstrakcje

Susan Sontag w rozmowie z Jonathanem Cottem zatytułowanej "Myśl to forma odczuwania" zwierza się, że czyta szybko, że "pochłania" lektury i nie rozmyśla o nich, daje im pracować w podświadomości. Ja wręcz przeciwnie, czytam nie szybko (choć przecież nie mozolnie), a gdy książka mi się podoba, to pod koniec wręcz zwalniam i dużo rozmyślam o tym, co czytam. Często też "domyślam" sobie ciągi dalsze lub zgoła inne zakończenia, prowadzę także wyimaginowane rozmowy i polemiki z autorami. Po przeczytaniu nie lubię też rozstawać się z książką, lubię sobie do niej jeszcze jakiś czas powracać, dlatego leży mi przy łóżku, w razie gdyby mnie nocą jakaś myśl obudziła (to dlatego wypożyczanie z bibliotek publicznych jest ostatecznością, bo trzeba trzymać się terminu zwrotu książki). Co mi się w podświadomości odłoży, to mi się odłoży, ale lubię sobie pobyc z książką i jej autorem również świadomie.

Przez wiele lat nie robiłam sobie żadnych podkreśleń a tym bardziej notatek w książkach. Jednak od dłuższego już czasu robię ołówkiem różne znaki i napisy. Tym sposobem mogę szybko przejrzeć dawno przeczytaną książkę i przypomnieć sobie, co mnie w niej najbardziej uderzyło. Żałuję, że nie robiłam tego wcześniej, mogłabym czytać po swoich śladach. Dawno, dawno temu książkę należało szanować jak obraz, dziś, kiedy książki są łatwopowielalne, można sobie pozwolić na osobiste uwagi i podkreślenia. To w końcu moja własność, która, niewykluczone, po mojej śmierci trafi na przemiał. Mam też w każdej książce wytłoczony własny *ekslibris*. Wytłoczony, bo trójwymiarowy, odpowiednie narzędzie - pieczęć - można było zrobić na specjalne zamówienie w Nowym Jorku, dlatego napis jest angielski "LIBRARY OF ELA BINSWANGER". Lubię bawić się myślą, gdzie też te moje książki, których w międzyczasie mam kilkanaście tysięcy, zawędrują po mojej śmierci (o ile nie trafią do zniszczarki).

Mój bohater Odys

Jednak zanim nauczyłam się czytać, opowieści o świecie chłonęłam przez oczy i uszy. Od zarania - czyli moja pamięć nie sięga aż tak głęboko - mieliśmy w domu czarny ebonitowy projektor do wyświetlania filmów (to był rzutnik do przesuwanych na błonie filmowej obrazków, film *de facto* nie był ruchomy, wyjaśniam, bo dziś w dobie telewizji i *YouTube* tamte "filmy" odeszły do lamusa). Moim ulubionym filmem były "Przygody Odyseusza". Mogłam go oglądać bez końca. Odys był bohaterem mojego dzieciństwa. Chciałam jak on przemierzać bezkresne morza, przybijać do coraz to nowych lądów i wysp, pakować się w sztormy, przeżywać jego przygody a z każdej wychodzić cała i bogatsza o doświadczenia. Wyspa boga Słońca z jego nietykalnymi krowami? Bogowie i boginie, syreny, nimfy i boginki? Jednooki cyklop Polifem? Straszne potwory Scylla i Charybda? Ależ proszę bardzo, gasimy światło i już wyskakują z czarodziejskiego pudełka. Nie wiedziałam, że to świat fantazji, myślałam, że tak właśnie wygląda prawdziwy świat, który tylko czeka, aż podrosnę i wyruszę w swoją wielką podróż dookoła życia.

Czy możliwe jest, że wbijając sobie w najgłębsze zwoje mózgowe Odysa i jego załogę tak pokierowałam moimi wyborami, że faktycznie dorosłe życie zaserwowało mi niemożliwe i pozwoliło pływać po morzach i oceanach na własnych łodziach i jachtach? Walczyć ze sztormami, przeżyć najprawdziwszy huragan a nawet zaznać niesamowitej pachnącej ozonem ciszy oka cyklonu? Uciekać przed piratami? Czy można aż tak wpływać na swoje atrakторы? Myślę, że do jakiegoś stopnia jest to pewien rodzaj interakcji. Wyobraźnia wyprzedza rzeczywistość a ja karmiłam swoją wyobraźnię daniami z najlepszych kuchni, książkami, filmami, obrazami, zdjęciami, spektaklami. I jedno wiedziałam na pewno, moje życie nigdy nie będzie szare, smutne i biedne, świat jest tak kolorowy i bogaty. Inna sprawa, że jest też zły, ale o tym później. Odysa uwieczniłam sobie w końcu w wierszu z 2000 roku:

sonet o O.

na wyspie naznaczonej zielenią i solą
zapisanej historią jak kartki zeszytu
pod górą tryskającą do granic błękitu
gdzie zmysły to śmieją się od wrażeń to bolą*

*wśród świątyń starożytnych i współczesnych witryn
w miasteczkach na wpół greckich na wpół katolickich
gdzie śpiewa jeszcze echo handlarzy fenickich
w cieniu drzewek oliwnych i kwitnących cytryn*

*tam gdzie cyklop wyteżał swoje jedno oko
a Gorgona syczała węzami wśród włosów
wylądował podróżny mierzący wysoko*

*co śmierci właśnie dotknął pośród syren głosów
a skórę miał starganą smaganiem scirocco
- i żyje nieśmiertelny wyrokami losu*

*(*Na zachodnim wybrzeżu Sycylii, o której mowa, jest port Trapani, stolica prowincji o nazwie Trapani.
Całe wybrzeże wokół usiane jest kopczykami soli odparowanej z wody morskiej.)*

W Krakowie królów

Prawdopodobieństwo, że człowiek urodzi się księciem (lub księżniczką) jest w rzeczy samej niewielkie, ale co, jeżeli urodzi się zwykłym śmiertelnikiem u stóp królewskiego zamku? Dla mnie moje dzieciństwo było bajecznie bogate, dla moich rodziców początki ich wspólnego życia w latach 50. było, delikatnie mówiąc, wyzwaniem. Mieli trójkę, a wkrótce czwórkę dzieci. Musieli pracować nie mając właściwie żadnych porządných zawodów. Wejście w

dorośle życie taty zaczęło się od wojny. Pięć lat wojny bez wprowadzających w życie rodziców to musi być duże poczucie bezradności. Został sam. Też ruszył jak jego brat na wschód. Dotarł pod Jarosław. Tu poznał sporo (7 lat) starszą od siebie kobietę. Wkrótce się ożenił. I wkrótce zaczęły przychodzić na świat wojenne dzieci. Trzeba je było wykarmić. Póki się dało tato jeździł do Lwowa i handlował czym się dało. Jeździł też do okupowanego Krakowa. Jeszcze w przedwojennej szkole uczył się niemieckiego, teraz mu się przydawał. Któregoś razu zdołał uciec z łapanki. Żeby mieć poświadczenie o pracy zatrudnił się do karmienia wszy (niemiłe, ale ratowało przed wywózką).

Nic dziwnego, że po wojnie czytał książki, które jakoś mu tłumaczyły, co mu dał świat jego młodości. A co zabrał. Czasami podczytywałam i ja jego książki. Przedstawiały okropieństwa, które wydarzyły się tuż przed moim przyjściem na świat. Nie mogłam się temu nadziwić. Jakże to? Dorośli ludzie, a tak niemądrzy? Uważałam (a długo tak uważałam), że dorosłość polega na ostatecznym zmadrzeniu. Tymczasem książki dla dorosłych temu przeczyły. Ciągłe też słyszało się o wiszącej nad nami trzeciej wojnie światowej, o bombach wodorowych, o rozszczepieniu atomu, o Hiroszimie i Nagasaki. Którejś nocy tato postawił cały dom na nogi, Radio WE podało, że prezydent Kennedy nie żyje. Udzieliło mi się przejęcie rodziców. Miałam wtedy niespełna 10 lat. Pobiegłam do szkoły wcześniej niż zwykle i informowałam wszystkie nadchodzące dzieci. Nie obeszło ich to specjalnie. Nauczycielka też niespecjalnie się zainteresowała, lekcja rozpoczęła się jak zwykle. A ja myślałam, że świat się zawalił, tak wzburzonego taty nigdy nie widziałam. Wojna, wojna, znałam już sporo książek o wojnie. Oglądałam też wojenne filmy (jeszcze nie w telewizji, jeśli, to w kinie). Wojna była czymś strasznym a zarazem niewyobrażalnym, słyszałam o zburzonej Warszawie (której nie znałam, ale zbierało się pieniądze na SFOS, Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy, rozpisuję, bo nie wiem, do jakiego stopnia skrót ten jest znany dzisiaj). W szkole mieliśmy czasami spotkania z były więźniami obozów koncentracyjnych. W końcu pojechaliśmy na wycieczkę do Oświęcimia...

Ale wróćmy do początków. Mama nie dostała się na studia. Urodziła mnie i państwo obdarzyło ją wyprawką: dziewięć tetrowych pieluch, *cumel* i kocyk. Któregoś razu tato kupił mi zawieszane na sznurku grzechotki nad daszek od wózka. Mama strasznie się zdenerwowała, taki niepotrzebny wydatek! Mieszkaliśmy wtedy w mieszkaniu w pożydowskiej kamienicy. Kamienica była porządna, nie z tych biednych jak na Kazimierzu, część frontowa, oficyna, podwórko, niewielki ogród z widokiem na znacznie większy siostr urszulanek, dozorcówka z dozorczynią, zamykana na noc ciężka ozdobna brama z grubymi kryształowymi szybami, klatka schodowa wykafelkowana, szerokie schody, lustro na półpiętrze (kto tu mieszkał? co się stało z tymi ludźmi? przy drzwiach wejściowych do mieszkania był ślad po mezuzie, pokazała mi go mama i wytłumaczyła, czy ja coś z tego rozumiałam?).

Mieszkanie było przepastne, dwa wejścia, dwa balkony, spory przedpokój, długi ciemny pełen szaf korytarz z pokojów do kuchni, służbówka, duża (luksus!) łazienka, osobny ustęp. Ale dzielone przez dwie rodziny i dwie samotne kobiety, jedna wcześniej owdowiała, druga stara panna. "Wdowa" stłoczyła w swoim pokoju resztkę swojego przedwojennego dobytku, z którego żyła, przypominał gęsto upchany salon Desy. Czegóż tam nie było! Przy nim pokój "starej panny" wyglądał jak surowa klasztorna cela. W porywach było nas w tym mieszkaniu ośmioro osób dorosłych (bo dziadek i siostra od tej drugiej rodziny) i sześcioro dzieci. Luksus-łazienka to niefunkcjonujący piecyk gazowy, wanna zawalona gratami, których nie wolno było tknąć, bo do kogoś należały, kąpało się w cebrzyku, wodę grzało w kuchni, nieużywana ubikacja (teraz zwana "komórką", nabitą po suficie barachłem), kuchnia dzielona na sektory, zimna woda...

Ale wszystko to między Plantami dietlowskimi a Plantami głównymi o rzut beretką od Wawelu. Wzgórze wawelskie i brzegi Wisły porośnięte dzikimi krzewami, smocza jama zabita deskami, wymarzone miejsce do zabaw, tajemnicze i niesamowite, do smoczej jamy dało się precyzyjnie (inna sprawa, że była dość zapaskudzona). To latem, zimą z Wawelu zjeżdżało się na sankach. Nie to co dziś, wszystko uporządkowane, krzaki wycięte, kroku poza alejki nie wolno postawić, smok zajeje gazowym ogniem. Czasami zaglądało się do katedry z królewskimi grobami. Kiedyś gruchnęła wiadomość, że wróciły wawelskie arrasy. Szło się oglądać jak swoje. Wawel był nasz. Mój.

W Krakowie kupców

Rynek był także mój. Tato nadal pracował w handlu. Jak w czas wojny. Handlował pamiątkami w Sukiennicach. Dziś sprzedawcy w Sukiennicach nazywają się znowu kupcami (część mojej rodziny ma tam nadal swoje kramy, w gablocie od strony ul. Brackiej jest opis historii Sukiennic po polsku i angielsku, jestem jego autorką). Wtedy byli pracownikami PTTK-u (Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego). Praca ta miała swoje dobre strony. Samochodu się człowiek na niej nie dorobił, ale kto marzył o samochodach, przy całej naszej ulicy był jeden, ciągle stał, więc pewnie zepsuty, chodziło się środkiem ulicy, na jezdni chłopcy grali w zośkę, na dworzec jechało się sprowadzoną spod poczty dorożką, a jak dorożki pozniakały, rzadki wypas, taksówką. Z racji swojej pracy tato był naszym kontaktem ze światem. Turystów zagranicznych nie było dużo, ale czasami się trafiali, a wtedy w domu pojawiały się różne niezwykle przedmioty. Nowinki techniczne (długopis, radio tranzystorowe, miniaturowy zegarek, aparat fotograficzny), zabawki (pociąg na torach, kolejka linowa, czołg zdalnie kierowany, statek parowy jak na Mississippi z książek Marka Twaina, na baterie, rakieta na pompkę i wodę, w końcu tak daleko poleciała, że już nie wróciła, opuściła Układ Słoneczny), i - z drugiej strony świata (popiersie Lenina, pięcioramienna gwiazda podpisana CCCP, statuetka Mosfilmu...).

Od pierwszej klasy szkoły podstawowej chodziłam na lekcje rytmiki. Przez pierwsze lata do Domu Kultury, czyli Pałacu pod Baranami, przy Rynku. Zajęcia odbywały się na pierwszym piętrze w Lustrzanej Sali, w której wieczorami dawał lekcje tańca towarzyskiego profesor Wieczysty. Dwie kondygnacje niżej Piotr Skrzynecki wydłubał sobie Piwnicę pod Baranami (zawalona była gruzem) i tworzył swój niepokorny kabaret (wiele lat później miałam go zaprosić na występ w Szwajcarii). O piętro wyżej chodziłam jakiś czas na angielski, ale szybko okazało się, że uczniów jest za mało i kurs się rozwiązał. Zdążył jednak zrobić swoje, angielskiego się nie nauczyłam, ale wymowy trudnych angielskich głosek już tak. Potem miałam jak znalazł. Po pierwszym roku rytmiki mieliśmy uroczysty pokaz na scenie teatru Rozmaitości (przed wojną i dziś ponownie Bagatela). Biegałam po dusznych garderobach. Nam, dziewczynkom umalowano usta na czerwono. Nie zapomnę pierwszego wrażenia widoku pełnej widowni ze sceny. Czy to wtedy złapałam bakcyła, co skończyło się zdawaniem do Szkoły Teatralnej (i faktycznie skończyło, bo odpadłam, przeznaczenie miało już na mnie zupełnie inny pomysł)?

Zakochana w kinie

Mogłam mieć wtedy jakieś 5 lat. Moi rodzice wybrali się wieczorem na "La Stradę" Felliniego, a ponieważ akurat nie mieli co ze mną zrobić, zapewnili panią od targania biletów, że na pewno usnę. Ja jednak na pewno nie miałam zamiaru usnąć. To była rzadka gratka! Film dla dorosłych! Fakt, ile nie rozumiałam, to moje. Ale jedno zrozumiałam z pewnością. Że jest to bardzo przejmujący piękny film. Minęło drugie tyle lat i moja miłość do kina z każdym nowo obejrzanym filmem rosła. W końcu w wieku 11 lat zaczęłam "zbierać aktorki", czyli kupowałam co tydzień *Film*, *Ekran* (potem także *Wiadomości Filmowe*) i po przejrzaniu wycinałam gwiazdy filmowe. W antykwariatach, które miałam z powodu książek obcykane, były też stare numery filmowych pism, a także o wiele piękniejsze zagraniczne magazyny: *Cinéma*, *Ciné Revue*, *Paris Match*, *Jour de France*, *Elle*. Nie żeby wszystkie na moją kieszeń, ale przy odrobinie "gospodarności" mogłam sobie na te z najpiękniejszymi zdjęciami pozwolić.

"Zbieranie aktorek" miało swoje dalekosiężne konsekwencje poznawcze, estetyczne, geograficzne, polityczne, a także finansowe. Poznawcze, bo każdego tygodnia obskakiwiałam bliższe i dalsze kioski, dostanie *Filmu* i *Ekranu* ciągle graniczyło z cudem. Za każdym razem mogła to być wyprawa w nieznanne, jeśli kioski, które znałam, już swoją skromną pulę - często jeden egzemplarz, bo to były zupełnie inne czasy, niż dziś - wysprzedały. Finansowe, bo musiałam zbierać pieniądze, żeby pozwolić sobie na pisma, filmy i starannie wyklejane przeze mnie albumy (mam je do dziś), czyli szłam w koszty (z konieczności nauczyłam się odkładać na dalekosiężne cele). Po drugie spisywałam listy filmów w polskim tłumaczeniu i w oryginale dokładnie przepisując obce mi wyrazy. I akcenty. Najbardziej podobało mi się francuskie "circonflexe", czyli trójkątny daszek nad "ô" (jak w Lancôme), którego nazwy póki co nie znałam (dopiero do szwajcarskiej matury będę się uczyć francuskiego). Na razie moją ambicją było zobaczyć wszystkie filmy największych filmowych gwiazd. Nie było to łatwe do zrealizowania, bo wiele filmów było od 16 lat, a do tego było mi jeszcze daleko. Cholerny czas!

Czas na moją opowieść o czasie

Jednak na wiele filmów mnie wpuszczano i tak obejrzałam "Wehikuł czasu" według opowiadania H.G. Wellsa. Obejrzałam raz, drugi, trzeci. Już powieści przygodowe Juliusza Verne'a wprawiały mnie w zachwyt, ale książki fantastyczno-naukowe, które zaczęły się w moim życiu Wellsem, to był sezam! Czy możliwe są podróże w czasie? Czas, to jest coś, co fascynuje mnie ze wszystkiego, co jest nam dane, najbardziej. Do dziś. Kto mnie zna, ten wie, że w moim domu stoi i wisi mnóstwo zegarów, nawet w ustępie, w łazience, w garażu, wszędzie! Uwielbiam ich tykanie. Ludzie przeważnie nie lubią czasu, bo mija. Ja uważam, że jest wręcz przeciwnie, czas jest zyskiem, a nie stratą. Czas nie jest znikającą za plecami kreską. Jesteśmy jak szpula, na którą czas się nakręca i odtąd jest nasz. Przynajmniej ja tak właśnie rozumiem czas. Jasne, któregoś razu mój czas się skończy i tak jak mnie przed moim przyjściem na świat nie było, tak mnie i potem nie będzie.

No, dobra, niektórzy wierzą w nieśmiertelność, czyli zawieszenie w wieczności. Ciekawe po co? Żeby tak sobie trwać i trwać? Toż to koszmar. Na szczęście nierealizowalny. Ja tam mam swoją nieskończoność teraz, za życia. To wtedy, od Wellsa, od Lema, od powieści SF nauczyłam się odczuwać czas niejako sferycznie, jestem w nim zanurzona jak w powietrzu, jest dookoła i jest cały czas, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość naraz. Nie da się żyć bez powietrza. Bez czasu też nie. Nie da się wyskoczyć z czasu. Ale nie jesteśmy więźniami czasu, jesteśmy jego beneficjentami. Tyle naszego. To dużo. Żadne bogactwa, żadne skarby tego nie zastąpią. Świadome odczuwanie czasu to jest mój osobisty sukces, moje otrzymane od życia trofeum. Jestem mojego czasu niepodzielną królową. W każdej dowolnej chwili umiem się przenosić do siebie z dowolnego czasu. Pamiętam siebie jak pianista pamięta każdą nutę utworu, który gra. Jasne, dużo ćwiczył, żeby osiągnąć taką biegłość. Ale jeśli zaliczył pierwsze dziesięć tysięcy godzin, to potem jest już z górki.

Opowiedz mi to swoimi słowami

Gdy mówiłam mamie, że przeczytałam jakąś fascynującą książkę, lub obejrzałam ciekawy film, mama mnie nakłaniała, żebym jej opowiedziała treść własnymi słowami. Same zachwyty jej nie wystarczały. Mama coś robiła, gotowała, prasowała, szydełkowała (jedno z jej ulubionych zajęć), ja jej w tym pomagałam (lub przeszkadzałam myśląc, że pomagam) i opowiadałam jej co przeżyłam. Mama mnie wypytywała, podpowiadała, naprowadzała. "Wytłumacz mi to", zachęcała, lub sama mi coś tłumaczyła, aż umiałam i ja jej to wytłumaczyć. Nie miałam pojęcia, że jestem jedną z niewielu dziewcząt w Polsce, które w życie uczuciowe wprowadziła własna matka. Skąd się biorą dzieci, to już ho, ho, wiedziałam, na wsi widziałam przychodzące na świat zwierzęta, mama dokładała do tego teorię...

To było w czasie wakacji, gdy miałam lat 8 i pół. Widocznie mama uznała, że czas mnie uświadomić, skąd wziął się tato. Byłam tym zaskoczona, bo dotychczas uważałam, że tato po prostu jest, ale jego rola daleko nie jest aż tak ważna jak mamy. Owszem, bawi się z nami, owszem, mamy przed nim słuszny respekt, owszem, informuje nas, co mówi Wolna Europa z własnym komentarzem, wydziela nam pieniądze na drobiazgi, robi pobudki grą na akordeonie (to był jego konik, dlatego tak bardzo lubię zespół *Motion Trio* i dlatego ucieszyła mnie wygrana Marcina Wyrostka w programie *Mam Talent*), owszem, nauczył mnie gry w szachy i fotografowania, ale żeby aż tak? Odtąd miłość jawiła mi się jako coś jeszcze bardziej tajemniczego, niż myślałam. Ale tym bardziej mnie ciekawiła. Gdy w końcu przyszedł i mój czas, mama zadbała i o to, żebym była zabezpieczona przed niechcianą ciążą. W roku 1972 w wieku 18 lat byłam więc bez żadnej przesady w skali całej Polski wyjątkowo solidnie przygotowana do świadomego życia seksualnego. Ale skąd mama miała aż tyle świadomości?

Nie dostawszy się na studia skończyła studium podyplomowe dla kosztorysantów i odtąd pracowała w biurze architektów (z tego powodu "Lesio" Joanny Chmielewskiej jest mi szczególnie bliski). Tato zarabiał nieźle, mama także, tym samym nasza sytuacja finansowa była względnie dobra, co pozwalało na opłatę różnych zajęć pozaszkolnych dla nas, dzieci (o ile były płatne, na przykład pływalnia, na którą też długo chodziłam, była chyba za darmo?). Mama całe życie była bardzo aktywna, należała do Klubu Miłośników Teatru, do Kółka Psychologicznego, Kółka Krajoznawczego, uczyła się angielskiego, 14 lat chodziła na wykłady Uniwersytetu

Trzeciego Wieku, sama przygotowywała różne referaty, jeszcze pod koniec życia zapisała się na francuski...

Odkąd pamiętam zabierała nas do kina, do teatru i na wystawy, chodziliśmy (z tatą lub bez) oglądać nowe budynki jak np. hotel Cracovia w czasie budowy, czy Bunkier na Plantach... Pamiętam wizytę cesarza Hajle Selassie w Krakowie i obchody 600. lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego. W niedzielę wybieraliśmy się regularnie na wycieczki a to na Kopiec Kościuszki, a to na Bielany, do Łasku Wolskiego, do Zoo, do Tyńca (statkiem), na Błonia, do Parku Jordana, na basen Cracovii itd., itp. Ale najbardziej charakterystyczne dla mamy było to, że dużo czytała i pisała. Już jako 14-latka zaczęła pisać dziennik. Ponieważ była bardzo konsekwentna i systematyczna, więc z małymi wyjątkami opisywała każdy swój dzień. A że nie chciała, żeby ktokolwiek mógł to podczytać, wymyśliła sobie swój własny alfabet. Został nam po niej w spadku kufer pełen zeszytów zapisanych szyfrem. Na łożu śmierci (jak to się mówi) pozwoliła mi złamać szyfr, a że to nie Enigma, więc złamałam i mam teraz kapsułę czasu do przerobienia. Oraz spisana przez nią zwykłym alfabetem kronikę rodzinną.

Wreszcie dorosła

Swojego dorosłego życia wyglądałam i z głową pełną marzeń, i całkiem konkretnych oczekiwań, zdawałam do Szkoły Teatralnej, ale właściwie nie chciałam być aktorką, chciałam przeżywać przygody bohaterek (i bohaterów), które grały aktorki. Jednym słowem, jeśli ująć to w metaforę, nie chciałam być Michèle Mercier, chciałam być markizą Angeliką - we Francji na fali popularności filmów "płaszczka i szpady" nagrano w drugiej połowie lat 60. serię filmów o awanturniczym życiu pewnej (fikcyjnej) arystokratki z czasów Ludwika XIV zagranej przez piękną Michèle Mercier, działała na wyobraźnię. Sława gwiazdy filmowej wydawała mi się przereklamowana, zbyt dużo już wiedziałam o zależnościach gwiazd od producentów, agentów, reżyserów, kaprysów publiczności. Fajnie było zbierać zdjęcia gwiazd, ale samej być gwiazdą? Ciągłe bycie na świeczniku było w moich oczach poświęceniem swojego życia ułudzie. To było życie na niby a ja chciałam żyć naprawdę. I żeby nikt nie projektował na mnie swoich wyobrażeń o mnie, czego wyjątkowo nie znosiłam i czego do dziś nie lubię. Już jako nastolatka, ba, jako dziecko, nade wszystko ceniłam sobie niezależność.

Być może nie miałam też odpowiednich wzorców w rodzinie (sukces, kariera, znaczenie). W hierarchii społecznej najwyżej w rodzinie taty doszedł cioteczny dziadek (bodaj takie jest pokrewieństwo) Stanisław Wojciechowski, prezydent RP w latach 1922-26. W mojej świadomości funkcjonował jako mglista legenda, równie fantastyczna, jak ta, że mamy w drzewie genealogicznym jakąś węgierską księżniczkę. O tym, że "jego rodzina była niezamożna, jednak szczytowała się szlachectwem pochodzącym z XV wieku" dowiedziałam się dopiero z Wikipedii. W *tużpwojennej* Polsce lepiej było nie upierać się przy takich przodkach. Żyło się dniem dzisiejszym, wyglądało lepszej przyszłości. Moi rodzice przez 14 lat czekali na przydział mieszkania kwaterunkowego ("żeby wreszcie nie mieszkać na kupie"). Pełnoletności dożyłam w mieszkaniu w bloku na osiedlu wybudowanym wprost w uprawnym polu na wsi Bieńczyce. To też Kraków, ale prawdziwy, stary Kraków został hen, za siedmioma górami... Dezorientacja i dysharmonia, łany zbóż a wśród nich kilka samotnych obskurnych bloczysk. Jesienią wiatr w smętnych rżyskach. Zimą polne myszy przenosiły się stadami do naszych ciepłych kuchni. Nie było chodników, w słotne dni bloki tonęły w błocie. Czuliśmy się jak zesłani na Sybir. Rodzice całą resztę życia marzyli o powrocie do Krakowa. Na marzeniu się skończyło, nikt nie chciał się zamienić na wygwizdów. Dla mnie jedyną pociechą było to, że moja najbliższa przyjaciółka ze starej ulicy rok wcześniej też tu zamieszkała.

I szczęśliwie razem dostaliśmy się bez egzaminu do utworzonej właśnie z "celujących" uczniów "eksperymentalnej klasy" w liceum ogólnokształcącym (wtedy) imienia Bolesława Bieruta, które miało się okazać na bardzo dobrym poziomie, ale którego serdecznie nie znosiłam (choć z najwyższą przyjemnością spotykam się teraz z koleżankami i kolegami z tej naszej "dziwnej" klasy). Eksperyment polegał na tym, że byliśmy klasą o profilu matematyczno-fizycznym z poszerzonym rosyjskim. Poszerzenie polegało na zwiększonej dawce lekcji rosyjskiego, oraz matematyce, fizyce i chemii w językach tak polskim, jak i rosyjskim. Zachodnim językiem obcym był angielski.

Nie miałam nic przeciwko rosyjskiemu, nie podobała mi lokalizacja szkoły, jeszcze dalej od Krakowa niż nasze

osiedle, bliżej serca Nowej Huty, Placu Centralnego. A ja coraz częściej "uciekałam" do Krakowa, tam były "moje" ulice, kina, antykwariaty. Tak zaczęły się widelki, moje zainteresowania coraz dramatyczniej nie pokrywały się ze szkolnym programem. Rano wychodziłam do szkoły a jechałam do Krakowa. W kinie Sztuka i Apollo czasami oglądałam poranne seanse jeden za drugim (nikt się temu nie dziwił, bo do niektórych szkół chodziło się na drugą zmianę, popołudniową), dużo czasu spędzałam na przeczesywaniu antykwariatów w poszukiwaniu ciekawych lektur - jak mówiłam, ulubionych autorów lubiłam mieć skompletowanych - i filmowych czasopism, najlepiej zagranicznych, błyszczących, w domu rozkoszowałam się zdobycami. Później, później mama obliczyła mi już żartując sobie na ten temat, że na 4 lata przewagarowałam okrągły rok. Oczywiście miałam z tego powodu wyrzuty sumienia, gdy o 12 słyszałam hejnał mariacki czy to na żywo, bo akurat byłam w zasięgu, czy w domu emitowany przez program pierwszy radia, czułam się jak oszust i awanturnik w jednym.

Mój idol Lem

W jakimś sensie lubiłam to łaskoczące uczucie. Miałam swoje tajemnicze drugie życie. Od dzieciństwa na wsi lubiłam być dużo sama ze sobą. Gdy się czymś zajmowałam, to bez reszty. Czytając książki doskonaliłam się w podróży w przestrzeni i czasie i polemikach z autorami. Wycinając gazety dowiadywałam się różności o świecie. O ile podziwiałam urodę gwiazd filmowych, o tyle moimi idolami byli pisarze. A szczególnie jeden, Stanisław Lem! Gdy mając 12 lat zaczęłam zbierać aktorki, w poszukiwaniu zdjęć przejrzałam stare annały *Przekrojów* mamy i trafiłam na "Obłok Magellana" Lema, oczywiście w odcinkach. I przepadłam! Była to najślubsza książka Lema, wedle jego własnego mniemania, ale dla mnie wtedy w sam raz. Wycięłam wszystkie odcinki i złożyłam je w całą książkę (mama chciała umrzeć jak to odkryła, ale zachowała wycinki i tym samym roczniki *Przekrojów* w końcu zbutwiały, a "Obłok Magellana" się uchował).

Odtąd moim mistrzem stał się Stanisław Lem. Co z tego, że nie wszystko rozumiałam. Czytałam wielokrotnie, aż w końcu dorastałam. Skwapliwie wynotowywałam obce słowa, rozgryzałam Lemowe neologizmy. Gdy miałam 14, 15 lat, marzyłam o "zobaczeniu głowy Lema", chciałam zobaczyć "głowę, która to wszystko wymyśla". Chłopaków testowałam "na Lema". Znał, miał szansę, nie znał, odpadał. Gdy miałam 16 lat wreszcie "zobaczyłam głowę Lema". A nawet całą resztę pisarza, podpisywał książki na kiermaszu książek na Rynku krakowskim, odtąd marzyłam, żeby sobie z nim pogadać. "Nie było innych idoli przede mną", żadnych aktorów, rockowych piosenkarzy, sportowców. Lem ponad Lemy (moje marzenie spełniło się, że tak powiem, w trójnasób).

W roku 1986 w Niemczech wyszły niecenzurowane rozmowy Stanisława Beresia z Lemem. Od lat mieszkałam już w Szwajcarii, byłam studentką uniwersytetu Zuryskiego, czytałam książki po niemiecku. Z rozmów dowiedziałam się, że Lem pisał "Obłok Magellana" "w tramwaju" będąc dojeżdżającym małżonkiem swojej żony mieszkającej przy ulicy Sarego, "mojej" ulicy. Trwało to cały rok 1953. W tym roku moja mama chodziła tą ulicą ze mną w brzuchu. Urodziłam się 14 grudnia, 21 grudnia "Przekrój" zaczął publikować "Obłok". A więc Lem zaczarował mnie już wtedy! Ostrzegałam wprawdzie przed myśleniem magicznym, ale cóż to szkodzi czasami pozwolić sobie na odrobinę magii, transcendencji, fantazji?...

(Prywatnie) Uważam, że ta pierwsza wśród małp, która zaczęła myśleć magicznie była *de facto* pierwszym człowiekiem. *Homo magicus*, a nie *homo sapiens* to ta skokowa jakość w funkcjonowaniu mózgu. Owszem, współczesne państwo nie może rządzić w oparciu o porady astrologów, wróżów, magików, czy kapłanów, a nie zapominajmy, że jeszcze do niedawna tak było, ba, w niektórych częściach świata nadal tak jest, nie chcę się wdawać w których, ale jeden z tych krajów zaczyna się na "P". Nie zapominajmy i o tym, że nie pozjadaliśmy wszystkich rozumów, o wielu sprawach nam się po prostu nie śni. Niejeden raz to właśnie nieograniczona wyobraźnia jest prekursorem poznania. Czym jest synergia, koincydencja, prekognicja? Może są, może ich nie ma? "Potęga irracjonalności" Dana Ariely'ego to jedna z ważniejszych książek, jakie przeczytałam. Nasz umysł jest niezłym figlarzem.

Dlaczego nie chciałam mieć dzieci

W tym samym roku, w którym czytałam rozmowy z Lemem, w Izraelu ukazała się książka "Mi ata adon Grymek" autorstwa Natana Grossa. Znam alfabet hebrajski, ale nie czytam po hebrajsku, książka dotarła do mnie w polskim tłumaczeniu 5 lat później, nosi tytuł "Kim pan jest, panie Grymek?". To z niej dowiedziałam się nieco o poprzednich mieszkańcach ulicy Sarego (przed wojną Zielonej). Kamienica pod nr 12 należała do rodziców autora. Zajmowali mieszkanie na drugim piętrze. Jak my. Też mieli ogród. Dowiedziałam się, że nasz dom należał przed wojną do niejakiego Steiglera. A Steigler miał siedem córek. Cała ulica była zamieszkała przez rodziny żydowskie. Ile ich przeżyło? W czasie wojny Niemcy chętnie zajmowali te komfortowe mieszkania (mieli blisko do generalnego gubernatora Franka, który zamieszkał 7 listopada 1939 roku na Wawelu).

W wieku 17 lat wiedziałam już dość sporo o tym, co się wydarzyło całkiem niedawno, czytałam książki taty, miałam swoje, znałam filmy, byłam w Oświęcimiu i Brzezince. Szkolną lekturą były wtedy "Medaliony" Nałkowskiej. Niewiele szkolnych lektur pokrywało się z moimi zainteresowaniami, albo ich wcale nie czytałam, albo w innym czasie, ale "Medaliony" przeczytałam (to niewielka książeczka). I właśnie wtedy zapadło we mnie postanowienie, że nie będę miała dzieci. Im stawałam się starsza, tym mniej wierzyłam w to, że dorosłość oznacza zmartwienie. To złudzenie, świat może być taki, jak w opisywanych książkach, okrutny i głupi. To była prawdziwa historia. A skoro tak, nie mogę tego nikomu zrobić, a już najmniej swojemu własnemu dziecku. Niektórzy ludzie decydują się przeżyć życie bezdzietnie i ja do nich należę. Zdecydowałam, że wystarczy już, że ja żyję. Ponieważ to wielu ludzi oburza, zwłaszcza wierzących, przypominam, że to właśnie w Kościele katolickim "służba Bogu" oznacza celibat i bezdzietność. Poza tym jest wielu ludzi, którzy zwyczajnie nie chcą mieć dzieci. Podobało mi się to. Mniej więcej w tym czasie przeczytałam też "Mandarynów" Simone de Beauvoir. Na długo stała się moją kobietą-wzorcem (choć nie zgadzałam się, że kobiety powinny iść do wojska, bo mężczyźni idą, byłabym za tym żeby to mężczyźni wzięli sobie za przykład kobiety i żeby zlikwidowano wojsko).

W co wierzę a w co nie wierzę

Wychowana na "Odysei" wiedziałam od maleńkości, że bogów jest wielu. Na razie nie kolidowało mi to z wiarą w jednego Boga. Na wsi chodziłam do kościoła z dorosłymi, w mieście rzadko, moi rodzice praktykowali religijne tradycje tylko od święta. Ale na religie mnie posłali. Nie oponowałam. A kiedy wyprowadziliśmy się do Huty, sama chciałam chodzić do sióstr urszulanek, bo w Krakowie, blisko Sarego. Posiadam świadectwo dojrzałości również w tej dziedzinie. Tyle że wiara w bogów przesunęła mi się w sferę beletrystyki. Owszem, mity greckie, rzymskie, hebrajskie i inne są szalenie ciekawe, ale tak jak nie wierzę w Zeusa, czy Apolla, tak nie wierzę w Jezusa. Nie widzę też sensu w oddzieleniu duszy od ciała, bo to tak, jakby chcieć oddzielić jazdę od samochodu. Gdy samochód się zepsuje, ląduje na cmentarzysku, a jazda ma niby udać się do jakiejś Krainy Wiecznych Wyścigów? I tam w nieskończoność zasuwać? Biedna jazda! Nie wierzę w życie po śmierci, za to tym bardziej wierzę w życie przed śmiercią. Trudno je przecenić. Zdarza się tylko raz, tylko jedno i tylko na określony czas. Dekalog powinien być tak ułożony, żeby to właśnie uwzględniał. Szacunek do swojego czasu. I szacunek do czasu innych ludzi.

Mój stosunek do świata

Przeniesienie się z solidnej starej kamienicy do rozsypujących się od nowości domów-bloków to był dla mnie szok świadomościowy. Wszystko wydawało mi się nieprawdziwe. W latach 60. budowano bloki mieszkalne jak najtaniej a i to jeszcze rozkradano. Rezultat był taki, że nowe mieszkanie trzeba było od wejścia remontować. Tylko jak tu remontować, skoro nie ma materiałów budowlanych? Poza tym mieszkanie w bloku to zupełnie inna jakość życia, niż na wsi, czy w kamienicy. A znałam wtedy tylko te dwie możliwości. Na wsi dom, stajnia, stodoła i inne budynki gospodarcze stanowią centrum własnego świata. Posiadłość (o ile nie jest się chłopem małorolnym) otaczają łąki, sady, ogrody, własne drogi, pola uprawne a nawet lasy, kawał ziemi i kawał nieba to swoisty własny mikrokosmos. Żyją w nim ludzie i zwierzęta. Ludzie wiele tego, co jest im potrzebne do życia, wykonywali sami. Widziałam jak wygląda proces od ziarna do chleba, od jajka po rosół, pasienia krów po masło. Dla dorosłych to nieustająca praca (choć jest też czas na odpoczynek, w niedzielę czy zimą). Zaś kamienica z fasadą od ulicy i zapleczem od podwórka to zamknięte społeczeństwo, są wspólne schody, piwnice, strychy. Wszyscy się znają. I nagle ten blok. Otwarty dookoła, wystawiony z każdej strony na wiatr, ludzie anonimowi, żadnego zewnątrz i wewnątrz. Nie ma

poczucia wspólnoty, słabnie poczucie odpowiedzialności, poza własną wycieraczką zaczyna się obcy (wrogi?) świat, nikt o ten świat nie dba.

Zapewne w reakcji na rozsypkę mojego dotychczasowego świata to właśnie wtedy skonsolidowało się we mnie przekonanie, że mój świat to ja. Gdziekolwiek bym nie była, cokolwiek bym nie robiła. Podziały na nacje i racje są umowne, tymczasowe. Tak naprawdę każdy z nas jest pełnoprawnym mieszkańcem świata. W 1972 roku miałam 18 lat, dowód osobisty, pierwszą poważną miłość i trochę przemyślanych spraw. Środowisko, w którym wyrosłam, lektury, którymi się karmiłam, filmy, które oglądałam przyczyniły się do tego, że świat jawił mi się jako miejsce nieograniczonych możliwości o ile nie dam się zrobić w grzeczne (utrącające mnie) społeczne matryce.

Susan Sontag mówi, że "myśl to forma odczuwania". Ja jednak myślę, że niektóre obszary mózgu są narzędziem zmysłu dla rozszyfrowywania pojęć abstrakcyjnych, jakimi są słowa, tak jak inne obszary potrafią interpretować zobaczone, czy usłyszane (dźwięki, nie znaczenia). Samo odczuwanie to za mało, liczy się zrozumienie. To stało się moim życiowym celem. Zrozumieć jak najwięcej. Ciekawi mnie dużo i potrafię być dociekliwa. Wiedza jest niezgłębiona, stąd nawet największy filozof musi w końcu dojść do wniosku, że *wie*, że *nic nie wie*. Ale jeśli przeprowadzi na bazie wiedzy i logiki jakieś rozumowanie, to powinien mu wyjść wynik jak w matematyce, prawidłowy, choć oczywiście są pułapki albo po prostu zadania nierozwiązywalne. Jeśli zadanie uda się rozwiązać, to człowiek odczuwa przyjemność, ale dopiero wtedy. Może to być też przyjemność płynąca z przeczytania kompletnie abstrakcyjnego wiersza. Lecz ten wiersz, zawarte w nim metafory czy porównania muszą przejść przez "zmysł rozumowania".

Matura za maturą

Wydawać by się mogło, że zrobienie matury w trzy lata zamiast w cztery to swoisty sukces. Tym bardziej, że pani polonistka uznała moją pracę za jedną z najlepszych z czterech klas, co oznajmiła na akademii po maturze pisemnej. Jeśli chodzi o polski mogłam czuć się usatysfakcjonowana. Gorzej było z matematyką, matematyka nie znosi luk. A ja miałam głównie luki. I myślałam, że tak już do końca życia zostanie. Najważniejsze, że mam świadectwo dojrzałości w kieszeni i szkołę średnią za sobą. Wkrótce miało się okazać, że mój los ma wobec mnie zupełnie inne plany. Postawił mnie przed wyborem: albo zrobię jeszcze raz maturę, tym razem szwajcarską, albo nie ma mowy o studiach. Zabrałam się tak ostro do nauki, przecież najpierw niemieckiego, bo go nie znałam, że już się nie zatrzymałam.

Przede wszystkim rozsmakowałam się w matematyce. I to tak bardzo, że gdy już miałam w kieszeni także maturę szwajcarską, studia zaczęłam od matematyki. W Szwajcarii studiuje się przedmiot główny i dwa dodatkowe, a ponieważ jednak czułam się humanistką i niemiecki też już miałam na poziomie matury opanowany, zmieniłam matematykę na historię sztuki. Dodatkowe przedmioty, które dłużej i krócej studiowałam to: astronomia, historia teatru, literaturoznawstwo, psychologia i archeologia oraz rysunek. W Szwajcarii nie ma też ograniczeń (czy też wtedy nie było) dla długości studiów. W sumie studiowałam 10 lat. Już w czasie studiów zaczęłam pisać recenzje z wystaw. Po niemiecku. Po polsku pisałam artykuły do polonijnego pisma a także polskiej prasy. W końcu zostałam redaktorką w szwajcarskim wydawnictwie, szydełkowa robota, ale dało si[ę] z pracy przez pół roku przeżyć rok. Drugą połowę spędzałam na łodzi. Na jeziorach, rzekach, morzach i oceanach. Zawsze z odpowiednio skomponowaną biblioteczką. Tym samym prowadzili mnie moi dwaj przewodnicy, Lem, jeśli chodzi o ciągłe uczenie się różności, Odys, jeśli chodzi o szalone podróże. Pozostaje jeszcze jeden maestro, ale o tym już w innej opowieści.

Przyjemność ze zdobywania piramidy Masłowa oraz inne przyjemności

Wszechstronność nie jest dziś, w dobie zawężających się specjalizacji, jakąś szczególną wartością. Kosztuje dużo czasu a daje mało pieniędzy. Jednak daje dużo satysfakcji. Ma to coś wspólnego ze zdobywaniem szczytu piramidy Masłowa. Amerykańsko-żydowski psycholog Abraham Maslow stworzył model hierarchii ludzkich potrzeb. Ma on kształt piramidy. Od najbardziej podstawowych najniżej, po najwyższe, ku wierzchołkowi, gdzie są potrzeby

samorealizacji, harmonii i piękna, wiedzy, poznania, rozumienia i otwarcia na nowości. Gdy w mojej orbicie pojawia się jakiś nowy temat, staram się zebrać wystarczająco dużo wiedzy, żeby go zgłębić. Gdy patrzę na siebie osiemnastoletnią z mojej obecnej perspektywy sześćdziesięciolatki, myślę sobie, że tę dziewczynę czeka ciekawe życie. Intelktualne i uczuciowe. Nie zdradziłam w tej opowieści żadnych rodzinnych tajemnic, nie pisałam też wiele o miłości. Choć rozum splata się nierozzerwalnie z uczuciami, opowieść o moim życiu uczuciowym zostawiam sobie na zaś, być może mój "atraktor" przyciągnie mi jakieś moje 13 lat w jakimś moim Dux. Jak, nie przymierzając, kiedyś Casanovie. Nie uciekałam nigdy jak on ze straszego więzienia, ale przed piratami już tak, będzie o czym pisać, tymczasem posłużę się a posteriori jego radą: *"Ktokolwiek na tym świecie pragnie być szczęśliwy, musi jedynie sprawić, aby go kochano, a każdy może tego dokonać, jeśli tej najważniejszej umiejętności nauczył się w 'dobrym towarzystwie', to znaczy z dobrych książek."*

Że akurat Casanova jest moim trzecim "przewodnikiem", może kogoś zaskoczyć, dlatego wyjaśniam: Casanova jest o wiele lepszy niż jego (zła) sława. Trzeba wczytać się w jego pamiętniki, "Historię mojego życia", a nie polegać na obiegowej opinii, która się do niego niesprawiedliwie przykleiła. Przypomina mi to trochę sytuację Marka Hłasko, o którym krąży opinia, że był kabotynerem i pijakiem, a nie zna się jego książek (i listów! teraz, odkąd wyszedł zbiór jego listów w opracowaniu Andrzeja Czyżewskiego, więcej listów!). Bo nic bardziej błędnego! Podobnie jak Hłasko, Casanova był - a już szczególnie w kontekście swoich czasów - człowiekiem ze wszech miar wyjątkowym. Miał to, co najtrafniej ujął Andrew Miller (w książce "Casanova zakochany"): *"...jego umysł wykazywał niezwykłą zdolność oddzielania plew od ziaren mądrości"*. Był doskonałym przedstawicielem oświecenia: *"Na /jego/ półkach stały dzieła największych umysłów współczesnej Europy, których idee kształtowały nowe społeczeństwo na Zachodzie, wolne od przesądów religijnych i wszelkiego zabobonu, uznające rozum człowieka za najwyższą z wartości."* (pisał o nim Robert Foryś w powieści o pobycie Casanovy w Polsce pt. "W objęciach Casanovy"). Dlaczego więc nie Wolter jest moim guru, a Casanova? Bo obok rozwoju umysłowego, zdobywania wiedzy, poczucia humoru i błyskotliwości, ironii i dystansu, ważne było dla niego życie uczuciowe, zmysłowe - i stosownie do tego wyglądał, Wolterowi tego brakowało. Casanova był do (za)kochania, Wolter do czytania. Nie przyczynił się do poprawy zdania o Casanovie film "Casanova Federico Felliniego". Był to bowiem Casanova Felliniego, a nie Casanova Casanovy. A że film jest dobry, tym gorzej dla samego Casanovy! Casanova Felliniego w wykonaniu Donalda Sutherlanda - skądinąd mojego ulubionego aktora - to Casanova zupełnie nie kochający i nie zmysłowy! Postaram się napisać porównanie Casanovy z Markiem Hłasko, bo widzę pewne podobieństwa.

*

Tekst ten powstał na zamówienie magazynu "Edukacja i Dialog" i jest w numerze 7/8 2014.